ŚWIĘTO DZIECI ŚWIATA

MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ DZIECKA, święto dzieci całego świata, najbardziej słoneczny dzień w roku. Chcielibyśmy, aby takim właśnie było to święto dla wszystkich dziewcząt i chłopców w naszym kraju, dla wszystkich dzieci na całym świecie. Życzymy więc naszym Czytelnikom samych radosnych dni, dobrych wyników w nauce i ciepła rodzinnego w domu, wspaniałych przygód i wesołych zabaw. Dzieciom z Wietnamu, Laosu i Kambodży życzymy pokoju w kraju wolnym od obcych najeźdźców. Dzieciom arabskim — pokoju i powrotu do swoich domów, z których wypędził ich okupant. Dzieciom greckim — powrotu rodziców wtrąconych przez faszystów do więzień. Wszystkim dzieciom — spełnienia ich marzeń.

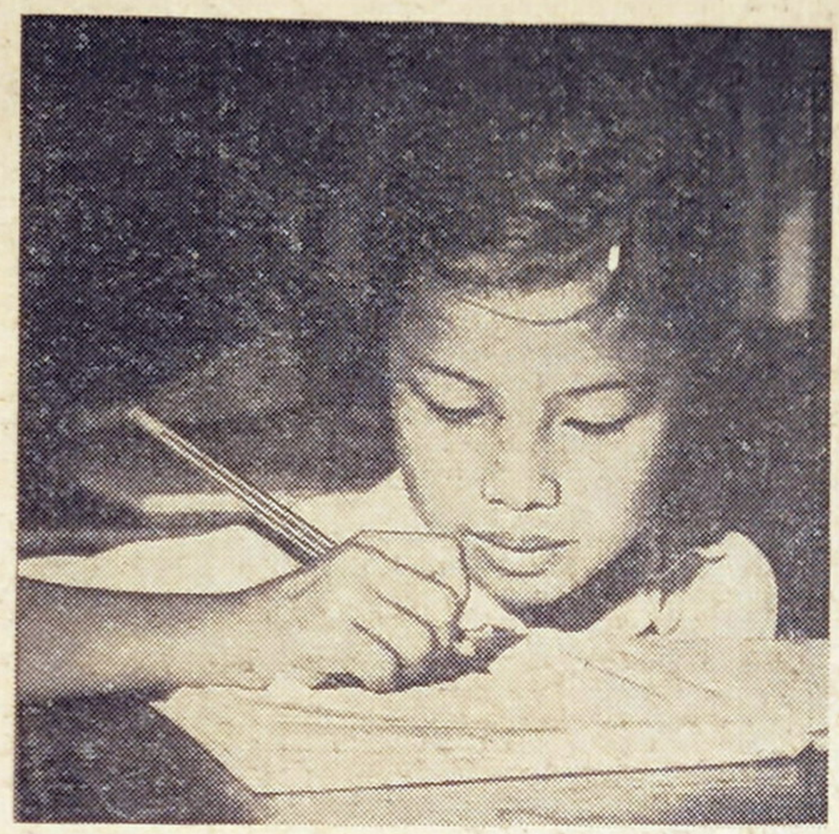

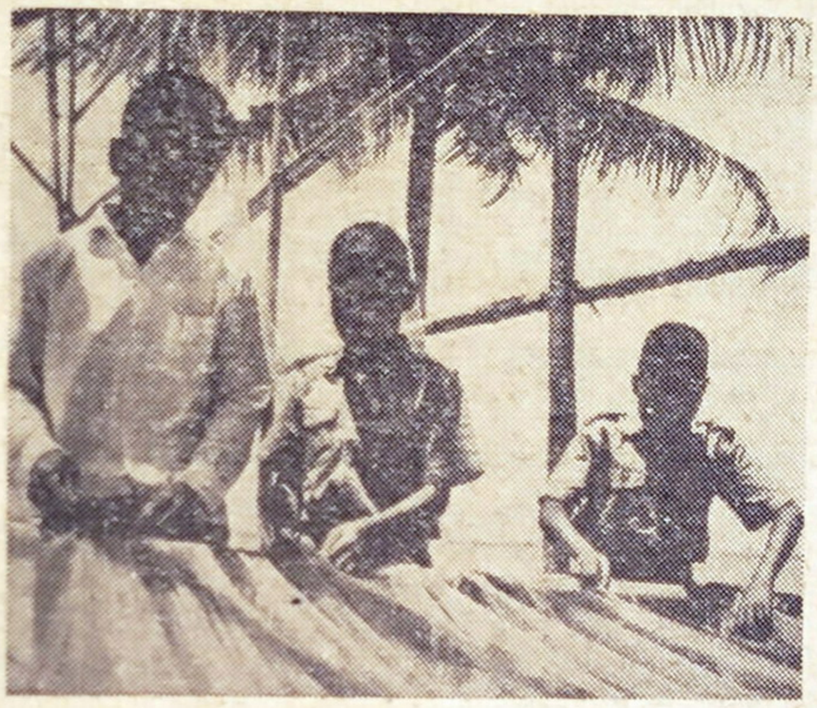

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 43 (1931) 29 maja 1970 r. Cena 50 gr

„PŁOMYK" PYTA

KOMU „ORLE PIÓRO"?

KTÓRY Z AUTORÓW współczesnych powieści dla młodzieży powinien otrzymać to zaszczytne wyróżnienie? Na to pytanie odpowiedzą WSZYSCY MIŁOŚNICY KSIĄŻEK, biorąc udział w WIELKIM PLEBISCYCIE ogłoszonym w 9 numerze „Płomyka".

Plebiscytem objętych zostało 100 książek (ich listę oraz szczegółowe informacje na temat plebiscytu znajdziesz w 9 n-rze „Płomyka"). Spośród nich każdy uczestnik plebiscytu ma prawo wybrać 3 najbardziej przez siebie ulubione powieści. Autorowi książki, która otrzyma największą ilość głosów, przypadnie Nagroda „Orlego Pióra".

Natomiast wśród uczestników plebiscytu rozlosowane zostaną: GITARY, SPRZĘT SPORTOWY i TURYSTYCZNY oraz wiele innych atrakcyjnych upominków.

A więc nie zwlekajcie! Wypiszcie na kartach pocztowych tytuły wybranych książek i wyślijcie swój głos pod adresem: Redakcja „Płomyka", Warszawa, ul. Spasowskiego 4, z dopiskiem **„Orle Pióro"**.

GRY I ZABAWY DZIECI RÓŻNYCH NARODÓW

„SARDYNKI"

(GRA BRAZYLIJSKA)

● Jeden z uczestników gry chowa się w jakimś pomieszczeniu, reszta go szuka, oczywiście każdy na własną rękę. Ten, kto odnajdzie schowanego — kryje się razem z nim w tym samym miejscu. Tak samo postępują następni. Dopiero wówczas można opuścić schowek, gdy znajdzie się w nim ostatni spośród uczestników zabawy.

Gra nosi nazwę „Sardynki" ponieważ w schowku dzieciom jest tak ciasno jak sardynkom w pudełku.

„NATCHNIENIE"

(GRA CZESKA)

● Każdy spośród uczestników zabawy otrzymuje kolejno pudełko z wyciętym w nim otworem. Zadanie polega na tym, aby patrząc przez otwór do wnętrza pudełka przez jedną minutę opowiadać obecnym, co się w tym pudełku widzi.

Zwycięzcą zostaje ten, kto najdowcipniej opowiada, czyli ma największe „natchnienie".

„PLĄTANKA"

(GRA ANGIELSKA)

● Do zabawy potrzeba tyle kawałkow sznurka (po 5 metrów każdy), ilu jest zawodników. Na jednym końcu każdego przyczepiamy tekturkę z numerem lub imieniem zawodnika. Teraz należy wszystkie sznurki splątać i powiązać w węzły, a na drugim końcu każdego ze sznurków przyczepić kartki ze słowami „pocieszenia". Tylko jeden sznurek zakończony jest „słodką nagrodą" — dropsami, herbatnikami lub innymi słodyczami. Zadanie polega na rozplątaniu sznurków, przy czym każdy z zawodników stara się rozplątać „swój" sznurek — to znaczy ten, do którego jest przywiązana tekturka z jego numerem czy imieniem. Zwycięża zdobywca „słodkiego" sznurka.

„HOTELARZ"

(GRA FRANCUSKA)

● Jeden z uczestników zabawy jest hotelarzem, reszta to podróżni.

Każdy podróżujący losuje literę alfabetu (poza i, e, x, y) i musi odpowiadać na pytania hotelarza używając tylko słów rozpoczynających się od wylosowanej przez siebie litery.

Oto przykłady pytań i odpowiedzi. Hotelarz zapytuje kogoś, kto wyciągnął literę „b": Nazwisko? — Barański. Skąd przyjechałeś? — Z Bratysławy. Co chciałbyś dostać na kolację? — Bułeczki. Jakie masz zainteresowania? — Bobsleje (itp.).

Każdy gracz, który się omyli, daje fant. Fanty rozgrywa się znanym sposobem: niech stanie na rękach, powie wiersz, zaśpiewa...

„Cynik" i Theodorakis

»Po przeczytaniu artykułu pt. Theodorakis i „czarni pułkownicy" byłem oburzony — napisał jeden z czytelników podpisując się „cynik". — *Bynajmniej nie z tego powodu, że słynny muzyk siedział w obozie. Jest to normalna kolej rzeczy, że każdego spiskującego przeciwko rządowi trzeba usunąć. Bo sami powiedzcie, czy człowiek bez talentu muzycznego, taki, który nie umie porwać sali swoją mową, ma gnić w więzieniu, podczas gdy muzyk siedzi sobie we Francji, „jak u Pana Boga za piecem". Czyżby człowiek z talentem był bardziej uprzywilejowany? W „Dzienniku TV" mówiono, że z przybyciem Theodorakisa do Francji wiąże się jakaś tajemnicza historia. Może w zemście za utratę więźnia krwawi terroryści zamordowali wielu ludzi? Czy nie mam „ociupinki" racji?«.*

Przeczytawszy — z kolei ja — list, za który „cynikowi" bardzo dziękuję, gdyż cenię sobie zawsze odważne zgłaszanie wątpliwości i występowanie ze swoim zdaniem, zajrzałem do popularnej encyklopedii Państwowego Wydawnictwa Naukowego „a-z". Na stronie 185 pod hasłem: „cynicy" znajdują się tam dwa krótkie wyjaśnienia: pierwsze — *„cynicy to grecka szkoła filozoficzna (V—IV w. przed naszą erą), założona przez Antystynesa; głosili nieużyteczność wszelkiej wiedzy o świecie oraz nicość takich dóbr, jak bogactwo, zaszczyty itp.; za prawdziwe dobro uważali jedynie cnotę"* i drugie — *„cynicy w potocznym słowa znaczeniu, to ludzie nie uznający żadnych wartości, kpiący z powszechnie uznawanych autorytetów i przyjętych zasad moralnych"*. Tak się przypadkowo złożyło, że i słowo cynik i Theodorakis pochodzą z tego samego kraju.

Czy nasz nadwiślański „cynik" ma choć „ociupinkę" racji?

Zanim jednak odpowiem na inne jego wątpliwości — kilka zdań informacji z ostatnich tygodni. 11 maja Paryż obiegła nowa sensacja. W mieszkaniu radykalizującego liberała, francuskiego milionera Jean Jacques Servan-Schreibera, żona kompozytora pani Myrtho Theodorakis opowiedziała dziennikarzom przebieg swojej ucieczki z Grecji.

Organizatorem ucieczki rodziny Theodorakis była pani Sabina. Jako zapalona żeglarka wybrała drogę morską. W jednym z trzech portów — w Rzymie, Neapolu lub na wyspie Malta wynajęła żaglowiec z silnikiem wraz z sześcioosobową włoską załogą. Jacht rozwijał szybkość trzynaście węzłów. Łódź podpłynęła do zatoki przy wybrzeżu jednej z niezaludnionych wysp greckich na Adriatyku. 2 maja pani Sabina przybyła do willi państwa Theodorakisów w okolicach Aten, w której oczekując na paszporty przebywała chora, leżąca w łóżku, ale nie spuszczana z oka przez tajną policję, żona kompozytora. Pani Theodorakis po wysłuchaniu propozycji początkowo odmówiła udziału w ucieczce. Dano jej czas do namysłu do 7 maja.

Ucieczka nastąpiła jednak dopiero 9 maja — w dniu, w którym „czarni pułkownicy" świętowali trzecią rocznicę objęcia władzy. Na ulicach był ruch, czujność „opiekunów" osłabła. Pani Myrtho spakowała rzeczy w dwa kosze od bielizny i oświadczając dzieciom, że jadą na wycieczkę do klasztoru Meteora w północnej Grecji, opuściła wraz z nimi dom. Zaparkowany na uboczu samochód dowiózł uciekinierów nad morze, skąd przygotowaną żaglówką dopłynęli do Messyny. Samochodem dotarli na pobliskie lotnisko sportowe, gdzie wsiedli do prywatnego samolotu, którym dolecieli w pobliże Paryża.

Ani nazwy lotniska, ani nazwisk ludzi, którzy udzielali pomocy w tej ucieczce, nie podano do publicznej wiadomości.

Może właśnie dlatego, by nie zamykać drogi na wolność innym patriotom... tym, którzy jak Theodorakis buntowali się przeciw rządowi, który, jak wynika z listu, miał prawo ich zamknąć. Tylko że ten rząd narzucił swoją władzę terrorem, co już nie tylko z punktu widzenia moralnego, ale i prawnego stawia pod znakiem zapytania jego prawo do rządzenia.

Tak, drogi „cyniku"! Dalszy ciąg historii jest również pełen tajemnic. Niepojęty wręcz wydaje się brak czujności greckich strażników, wątpliwości budzić mogą nawet pobudki zatajenia nazwisk przynajmniej niektórych pomocników ucieczki... Powstaje pytanie, czy ta ucieczka zapoczątkuje dalsze, czy je uniemożliwi... Serce przepełnić może obawa o zemstę, której dokonają podstępnie oszukani dzisiejsi władcy Grecji.

Nie zmieni to jednak faktu, że rośnie legenda Theodorakisa, że będzie ona w ostatecznym rozrachunku pomocna również cierpiącym w greckich więzieniach, pomocna walczącej o wolność Grecji. Legendy często pomagały w walce.

WIKTOR KINECKI

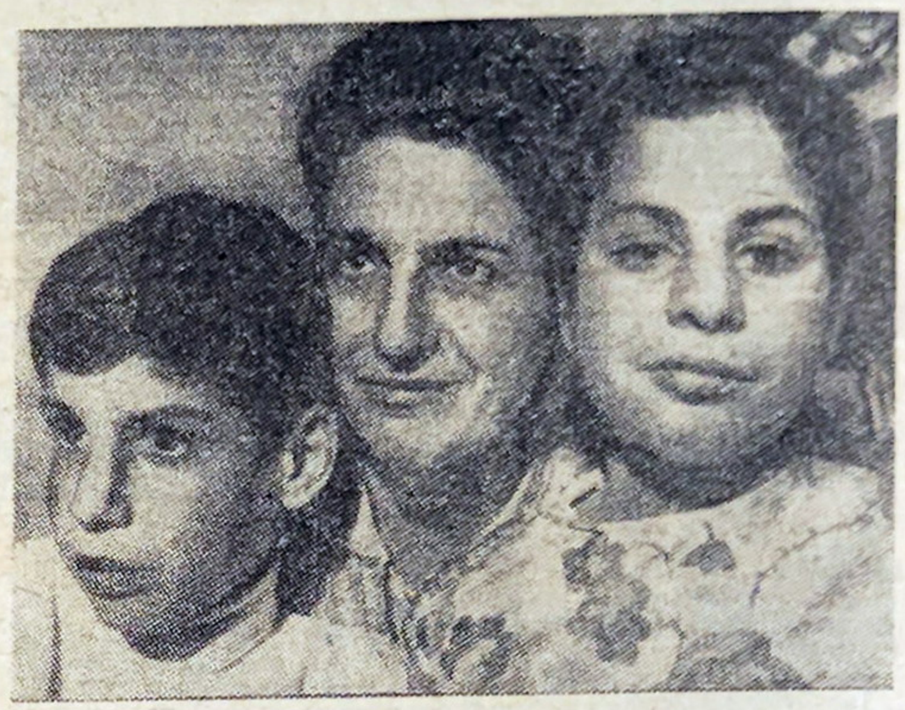

Pani Myrtho Theodorakis wraz z dwunastoletnią Margaridą i dziesięcioletnim Giorgisem są już na wolności. Dzieci będą mogły spędzić radośnie tegoroczny Dzień Dziecka. Byłaby ta radość jeszcze większa, gdyby nie myśl o tym, że tysiące ich koleżanek i kolegów drży z obawy o życie swoich uwięzionych rodziców.

WIELKI RAJD „ŚWIATA MŁODYCH" WZDŁUŻ POLSKIEGO WYBRZEŻA

Nie te same PIASKI

— MYŚMY CHCIAŁY DO PIASKÓW — mówię do przewoźnika, kiedy łódź jest już tak blisko brzegu, że dostrzegam domy.

W Piaskach byłyśmy z Wiką przed dwoma laty i dobrze wiemy, jak wygląda ta osada: wydmowe wzgórza, a między drzewami tu chatka, tam chatka...

Wydmy i owszem — są. Ale przede wszystkim rzucają się w oczy piętrowe jasne domki, a wzdłuż drogi ciągnie się linia elektryczna.

— W Piaskach nie ma światła — dodaję — pan pewnie zabłądził...

Przewoźnik w odpowiedzi uśmiecha się i z politowaniem kiwa głową.

Oto i nabrzeże rybackiego portu. Uspokajam się, kiedy odczytuję na burcie rybackiej łodzi napis: „Pia-9". Znajoma łódź. Pan Kil wrócił właśnie z połowu i wyciągnął ją na piaszczysty brzeg morza. W Piaskach raz łowią na morzu, raz na Zalewie, w zależności od pory roku i kierunku wiatru. Niewielkie łodzie transportuje się z brzegu na brzeg przy pomocy jedynego konia, jaki się tu znajduje.

Wyładowujemy rowery na betonowe nabrzeże. Umocowujemy na nich plecaki, chlebaki. Torby zajmują nasze „wehikuły" od kierownic po bagażniki. Dla nas już chyba zabraknie miejsca. Robimy więc pewne siebie miny i niby to podziwiając piękno krajobrazu idziemy bardzo wolno w stronę osady. Trzeba znaleźć nocleg. Słońce przygrzewa. Rowery grzęzną w piachu. My też. Pot zalewa oczy. Nawet nie ma go jak obetrzeć. Zziajane i zgrzane dobijamy wreszcie przed próg murowanego domu. Gospodyni, pani Baranowska, na nasz widok załamuje ręce. Wpuszcza do mieszkania, każe się rozgościć, a sama szybko parzy kawę.

A my zabieramy się za manatki. Swetry, bluzy, bluzeczki itp. — odkładamy na stertę. Wszystko to dziś jeszcze odeślemy. Albo ciuchy pojadą na rajd — albo my...

W pokoju, w którym panuje miły chłód, stoi telewizor. Cicho gra radio.

— To nie te same Piaski, co wtedy — stwierdzamy z satysfakcją.

Szkoła za wsią

W PIASKACH jest piętnaście łodzi i jeden koń. Niemal wszyscy mieszkańcy rybaczą. Nikt ziemi nie uprawia... Rolników „wygryzły" dziki, a drób zjadły lisy. Dziki zniszczyły to, co w ubogim piachu usiłował zasadzić człowiek. Więc kto nie chciał być rybakiem — nie miał tu z czego żyć.

Na wąskim przesmyku usypanym przez morski prąd, a dzielącym Bałtyk od Zalewu Wiślanego, mieszka dziś 25 rodzin.

Był czas, że mieszkały tylko trzy. Do tych najbardziej nieugiętych należą Błaszczykowie, Szpakowscy i Gotkowscy.

Pan Mieczysław Gotkowski, nauczyciel czteroklasowej szkoły, jest z zawodu ichtiologiem. Przed 18 laty przyjechał na to pustkowie, „bo taka była społeczna potrzeba", jak mówi. Absolwenci Rybackiego Liceum w Giżycku, w którym wówczas wykładał, postawili warunek, że przyjadą tu, jeśli przyjedzie „ktoś" z nimi. Więc pan Gotkowski przyjechał. Dziś Piaski łączy z Gdańskiem lepsza droga. Wtedy łączył — piach. Nieraz zimą przez bezdroża trzeba było chodzić po chleb aż do Sztutowa odległego o prawie trzydzieści kilometrów. Nieraz jedynym środkiem transportu żywności — była milicyjna motorówka z Fromborka.

Tak się złożyło, że nikt nie kwapił się do Piasków na stanowisko nauczyciela. Pan Gotkowski zaczął uczyć dzieci. Swoje i cudze. Lekcje odbywały się w jego własnym mieszkaniu. Dopiero później udało mu się zdobyć na szkołę piękny,

Pani Błaszczykowa jest rybakiem — kapitanem łodzi. Niewiele mamy w Polsce kobiet rybaków.

Foto: W. Iljin

W KAŻDY CZWARTEK

NAZYWAJĄ SIĘ Basia Ziotek i Iza Siwińska. Są uczennicami klasy Id XXX Liceum Ogólnokształcącego w Warszawie. W każdy czwartek można je spotkać w Instytucie Matki i Dziecka w Warszawie. Ubrane w białe fartuchy odwiedzają dzieci z Kliniki Chirurgicznej. Opiekują się najmłodszymi pacjentami, których przywieziono do Warszawy z różnych stron kraju na specjalne leczenie.

Basia i Iza mają w torbie jakieś słodycze, zabawki kupowane ze składek całej klasy. Maluchy — Halinka, Darek, Bogdan — nazywają je po prostu swoimi „ciociami". Każde odwiedziny dziewcząt w klinice — to dla dzieciaków święto i kilka chwil świetnej zabawy. Czasem razem z dziewczętami przychodzi jeszcze ktoś z klasy.

Oczywiście do dzieci przyjeżdżają też rodzice, ale „ciocie" odwiedzają je częściej.

Dziewczęta lubią „swoje dzieci", a dyrekcja szpitala jest im wdzięczna za opiekę nad malcami. W Instytucie wszyscy przyzwyczaili się do tych odwiedzin.

„To nasi pomocnicy — mówią lekarze. — Bardzo pomagają nam tymi swoimi wizytami w leczeniu dzieci". Instytut wysłał więc list z podziękowaniem do dyrekcji szkoły, dziękując za postawę dziewcząt.

Kiedy wraz z Basią i Izą byłam w szpitalu, dziewczęta opowiedziały mi o przygotowaniach do Międzynarodowego Dnia Dziecka. Program przygotowała cała klasa. W dniu święta uczniowie Id przyjdą do szpitala z przedstawieniem kukiełkowym, z wesołymi wierszami i piosenkami. Na kilka godzin dzieci zapomną, że są chore. Tak zresztą bywa zawsze, kiedy przychodzą „ciocie".

Po raz pierwszy dziewczęta przyszły do dzieci w październiku ubiegłego roku. Od tamtej pory nie opuściły ani jednego czwartku. Za wrażliwość na nieszczęście drugiego człowieka, za serce dla dzieci, za wytrwałość — Basię i Izę wpisujemy do Złotej Księgi „Świata Młodych".

ROMA JABŁOŃSKA

Zgłosili się już pierwsi chętni do zabrania głosu. O swoich wątpliwościach i projektach mówią dziś:

Krzysztof M. z Warszawy:

„WYSTARCZY RUSZYĆ GŁOWĄ..."

W ZESZŁYM roku Andrzej i ja nigdzie nie wyjeżdżaliśmy prawie przez całe wakacje. A było świetnie! Urządziliśmy sobie wigwam na balkonie. Nawet spaliśmy w nim w nocy, o ile oczywiście nie lało. Przed południem albo graliśmy w piłkę na podwórku, albo szliśmy na plażę, a wieczorami mieliśmy próby „Wcale Nie-Telewizyjnego Teatru Poniedziałkowego". Chcieliśmy wystawić „Przygody Tomka Sawyera" w odcinkach. Niestety nie bardzo się nam to udało. Szkoda, że w tym roku wyjeżdżamy: i to gdzie indziej — Andrzej, i gdzie indziej — ja. Może by w końcu z tego teatru coś wyszło. I tego wigwamu na balkonie też bardzo nam żal.

Joanna Z. z Warszawy:

„TO BARDZO SKOMPLIKOWANE..."

SŁYSZAŁAM już kiedyś, że co roku jest organizowane „nieobozowe lato". To może nawet dobry pomysł — tylko, że wszystko jest bardzo skomplikowane.

WAKACYJNE PLANY ZASTĘPU

W tym roku w lipcu zostaję w domu. Z naszego bloku prawdopodobnie jeszcze kilkoro dzieci nie wyjechało nigdzie. Moglibyśmy zorganizować zastęp wakacyjny, ale nie bardzo mielibyśmy się gdzie podziać. Z zazdrością słucham opowieści moich rówieśników z małych miejscowości — bazy w ogródkach, rozbite namioty, gdy terenowe w lesie... Jeśli chodzi o namiot, to posiadają go rodzice mojej przyjaciółki, która również nigdzie nie wyjeżdża. Chętnie daliby go nam na ten miesiąc, ale gdzie go ustawimy?

Nie jestem harcerką, może dlatego nie bardzo wiem, jak się do tego wszystkiego zabrać.

*

Ustaliłem już termin i miejsce zakończenia III Narady Zastępowych. **Gospodarzami naszego ostatniego w tym roku spotkania będą w dniu 11 czerwca harcerze z Ośrodka ZHP w Lubomierzu w pow. limanowskim.**

Tymczasem czekam na listy od wszystkich, którzy pragną zabrać głos nt. WAKACYJNYCH PLANÓW ZASTĘPU.

ALBATROS

NASZE SPECJALNE WYSŁANNICZKI PISZĄ Z TRASY

„Pia-9" wróciła z połowu. Łódź trzeba wyciągnąć na brzeg. Długa, mocna lina łączy ją z kołowrotem, którym kilkanaście metrów wyżej kręcą ludzie. Piaski od półtora roku mają elektryczność. Planuje się więc zbudowanie elektrycznego kołowrotu, który ulży pracy rybaków.

Foto: W. Iljin

Co to za „Karczma"?

PISZĘ O PIASKACH, ale miejscowości tej nie szukajcie na mapie. Dowiem ktoś, kto najprawdopodobniej nigdy tu nie był, i kto mieszkańców nie pytał o zdanie, nadał osadzie nazwę „Nowa Karczma".

Nazwa „ni przypiął, ni przyłatał" — jak mówi ludowe przysłowie — do osady nie pasuje. Ani ładna, ani chwalebna.

Nic więc dziwnego, że mieszkańcy zafundowali sobie przed osadą piękną, żółtą tablicę z napisem „Piaski". Niestety, pieczęć sołtysa, która zdobi moją służbową delegację — głosi, że byłam w „Nowej Karczmie".

— Piaski, bo piachy, nazwa pasuje — mówią czytelnicy w czasie spotkania w szkole. — Gospody tu nigdy nie było ani karczmy żadnej. Po sól i chleb do sklepu do Krynicy trzeba jechać. Tu tylko latem, w sezonie, czynny bywa kiosk z żywnością...

Dorośli podobno przekonywali władze powiatowe w Elblągu, podobno słali prośby do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku...

— Niech pani napisze, że my nie chcemy mieszkać w Karczmie, ani uczyć się w Karczmie, tylko w Piaskach — proszą czytelnicy...

Chociaż w szkole w Piaskach, jest tylko jedenastu uczniów — „Świat Młodych" im przyznaje rację.

WIESŁAWA MROCZEK

Uczniów w szkole w Piaskach jest jedenastu. Wszystkich, razem z nauczycielem panem Mieczysławem Gotkowskim, widzicie na zdjęciu.

Foto: W. Mroczek

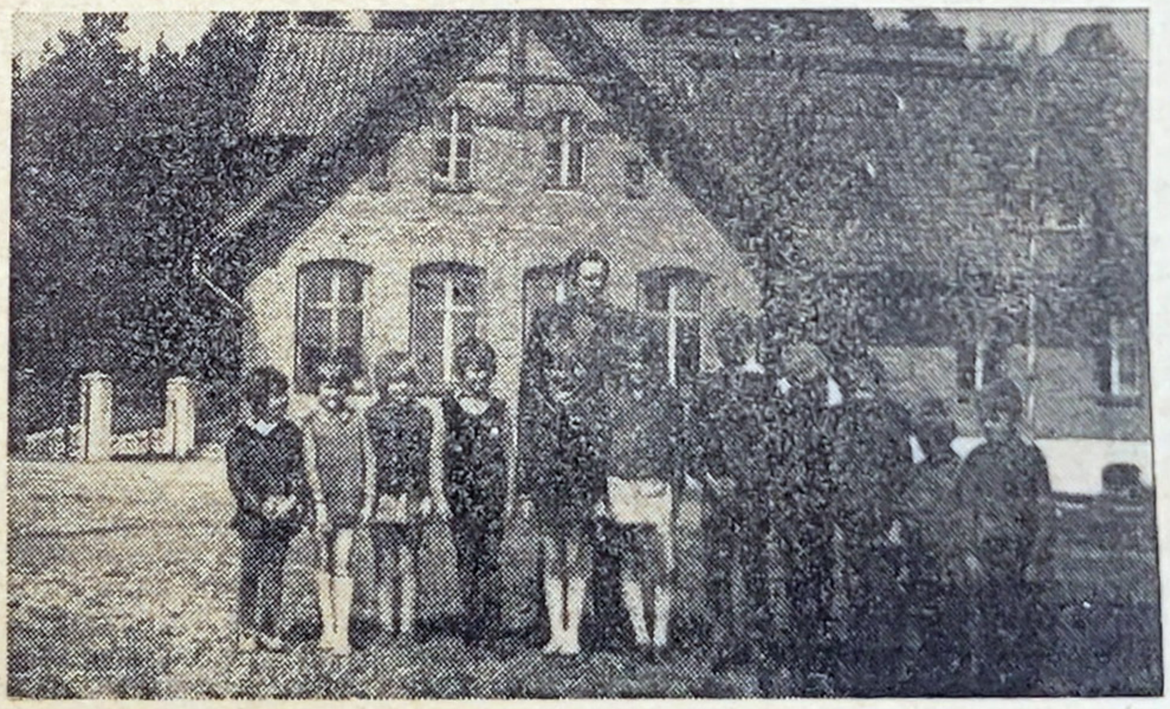

mu owany budynek na wzgórzu za osadą.

Zdobyć — to mało, udało się nakłonić jedną z instytucji, aby ów budynek do potrzeb szkoły przystosowała.

Uczniowie w Piaskach uczą się w jasnej sali, przy jasnych stolikach, siedzą na wygodnych krzesełkach. A latem inne dzieci, dzieci pracowników Przedsiębiorstwa Instalacji Przemysłowych z Gdańska — spędzają tu wakacje.

Że jednak szkoła jest „za wsią", a zimy bywają tu nieprzyjemne, więc kiedy mróz przyciśnie, pan Gotkowski jeden swój pokój oddaje na klasę. Wszyscy się w niej mieszczą, bo uczniów w tej szkole jest... jedenastu!

DZIECI RÓŻNYCH NARODÓW

KTO SZYBCIEJ?

CHŁOPCY z półwyspu Zamboango należącego do Filipin świetnie pływają. Umiejętność ta pozwala im nie tylko na bezpieczną kąpiel w oceanie, ale i na zdobycie paru groszy, które są bardzo potrzebne ich rodzinom.

Kiedy do wybrzeża zbliżają się powracający z połowu rybacy, chłopcy rzucają się do wody i co sił płyną ku ich łodziom. Znajomi rybacy podają im powiązane w pęczki ryby i chłopcy jak najszybciej mkną do brzegu, aby rozpocząć sprzedaż jeszcze przed przybyciem łodzi.

Największą sławą i zarobkiem może się poszczycić ten z chłopców, który najszybciej przypłynął do brzegu i najlepiej umiał zachwalić swój towar — ryby.

Foto: J. Feldman

W ESKIMOSKIEJ WIOSCE

ZNAJDUJEMY SIĘ w wiosce eskimoskiej na północy Kanady. Od najmłodszych lat eskimoscy chłopcy uczą się łowienia ryb. Dzisiaj zaprosili nas do siebie.

Najpierw przygotowania. Jedna grupa zabiera się do wyrąbywania przerębli. Nie jest to zadanie najprostsze, bo lód jest bardzo gruby, ale nasi mali przyjaciele z zadziwiającą wprawą posługują się specjalnymi do tego celu narzędziami. W tym samym czasie druga grupa ustawia z równo wyciętych bloków śniegowych dosyć wysoką ściankę, która będzie osłaniała łowiących przed silnymi podmuchami ostrego wiatru.

Gdy wszystko to jest już gotowe, mali Eskimosi, zupełnie jak u nas na obozie, stają do konkursu: — Kto pierwszy złowi rybę?! A kto złowi ich najwięcej?!

W konkursie uczestniczą oczywiście sami chłopcy, ale powoli zaczynają schodzić się i dziewczynki, które wiernie i cierpliwie kibicują łowieckim zmaganiom swoich kolegów.

(ek)

KW

W DNIU ŚWIĘTA -O DNIACH ZWYCZAJ- NYCH

Marzyłem o wielkiej przyjaźni...

ZACZĘŁO SIĘ to przed rokiem: poznałem Grażynę. Po raz pierwszy zobaczyłem ją na imieninach naszej koleżanki. Zaimponowała mi nie tylko urodą — ładnych dziewcząt jest wiele — ale i powagą. Niestety, nie rozmawialiśmy ze sobą, tuż przed zakończeniem imienin wyszła. Spotkałem ją ponownie na występie zespołu muzycznego. Siedziała koło mnie. Obserwowałem ją podczas całego koncertu. Na tle rozkrzyczanych nastolatek zrobiła na mnie jak najlepsze wrażenie.

Podstępem dowiedziałem się, gdzie mieszka i jak się nazywa. Zadzwoniłem do niej do domu i zaproponowałem wspólne pójście do teatru na przedstawienie: „Dziś do Ciebie przyjść nie mogę". Nadarzyła się okazja, bowiem warszawscy aktorzy przyjechali do Lublina. Ludzie „zabijali się" o bilety. Grażyna wykręciła się brakiem czasu. Poprosiłem, aby w wolnej chwili zadzwoniła do mnie. Zgodziła się, ale nie zadzwoniła.

Za kilka dni powtórnie zadzwoniłem i zapytałem, dlaczego nie chce pójść ze mną do teatru. Prosiłem o szczerą odpowiedź. Usłyszałem, że „w tym tygodniu nie ma czasu".

Mimo odmowy, dalej cieszyłem się, że poznałem dziewczynę, o jakiej marzyłem.

Tymczasem przypadkowo dowiedziałem się, że Grażyna wybiera się w sobotę do teatru, tylko... z kimś innym. Tego dnia nie odrobiłem lekcji. Siedziałem nad książkami i nic mi nie wchodziło do głowy. Następnego dnia bałem się, by nauczyciel nie wywołał mnie do odpowiedzi. Jestem dobrym uczniem. Drugi cios byłby dla mnie wielką porażką.

Choć od tego czasu minęło wiele dni, często myślę o Grażynie. Dlaczego nie powiedziała prawdy? Do przyjaźni nie można nikogo zmusić, ale o to, że skłamała, mam żal.

Romantyk

Poczucie humoru

NATURA obdarzyła mnie poczuciem honoru. Moim jedynym mini-zmartwieniem jest maksi-wzrost. Kilkanaście dni temu skończyłam 14 lat, a mierzę 172 cm. Czasami wołają na mnie „Dryblas", „Pogrzebacz" lub dla ironii: „Mała".

Tymczasem wysoki wzrost też się na coś przydaje, choćby na akademiach, pochodach czy po prostu dla odszukania w tłumie zagubionej koleżanki. A poza tym — siatkówka! Jestem siatkarką i to wcale nie najgorszą. A co bym zdziałała na boisku mając tak — jak przeciętnie moje koleżanki — 160 cm?

Pocieszam więc wszystkie dziewczęta: nie ma się czym martwić!

„Długonoga Aga"

Mam wyjątkowego pecha...

JESTEM GRUBY. W rodzinie wszyscy mnie pocieszają: „Ależ nie, jesteś tylko dobrze odżywiony, dobrze wyglądasz". W klasie jednak przezywają mnie „Gruby", a na podwórzu wołają „Balon". Jestem też najsłabszy ze wszystkich uczniów ósmych klas.

Mam poza tym wyjątkowego pecha. Na przykład na „śmigusa-dyngusa" przyniosłem do szkoły plastykowe jajko, co zresztą zrobiło wielu innych chłopców. Ale akurat moje musiano przyłapać i w dodatku natychmiast okazało się, że wiele osób widziało — choć wcale tak nie było — jak oblewałem dzieci.

GRY I ZABAWY

„WALKA ORŁÓW"

W MONGOLII — można by powiedzieć — dziewczęta i chłopcy rodzą się w siodle. Jazda konna należy tu do przedszkolnego wykształcenia. Niejeden bowiem uczeń czy uczennica dojeżdżać musi do szkoły z odległych koczowisk po kilkanaście, a nawet po kilkadziesiąt kilometrów dziennie. Nic więc dziwnego, że pięcioletni malcy cwałując konno stepem — to widok zupełnie zwyczajny. Wyścigi konne należą do najbardziej pasjonujących zabaw, no i są oczywiście narodowym sportem. W 1963 roku mistrzem republiki została... ośmioletnia dziewczynka.

Ulubioną dyscypliną sportową chłopców — obok wyścigów konnych i łucznictwa — jest „walka orłów". Są to niezwykle ciekawe zapasy, w których wszystko polega na dojściu do chwytu decydującego w ciągu kilku sekund o wyniku walki. Urok ich kryje się w tradycyjnym stroju, półtanecznych krokach, którymi zbliżają się do siebie zapaśnicy, i niezwykłej precyzji.

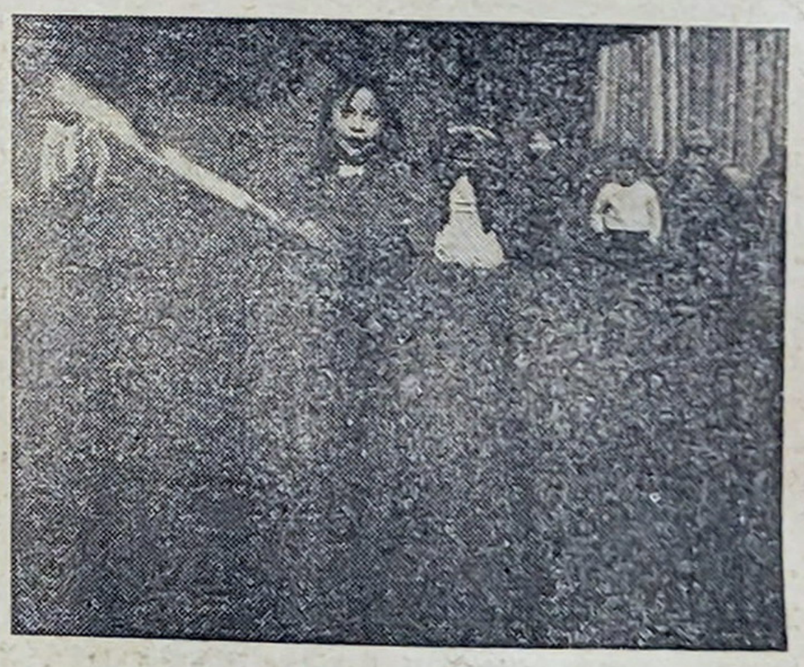

WSZYSCY GRAMY W PIŁKĘ

PIŁKA to zabawa uniwersalna. Jednakowo pasjonują się nią wszystkie dzieci na całym świecie. Oto gra młodych Indian z Kanady.

W grze biorą udział dwie drużyny, co najmniej sześcioosobowe (w każdej oczywiście jest jednakowa ków). Obie si ciwległych koń na środek wy nym swoim Oni to zaczyn jąc między so czym każdy z aby przeciwnik ciej „skusił". wtedy wrócić żyny, usiąść n gry przystępuj zawodników. znowu naste zmiana...

Gdy wszyscy nej drużyny wz grze, to na boi ten, który grę z wiada słowa po drużyna przegrał

Oczywiście sa czyli odbijanie bardzo różny. I zdjęciu odbija j długim płasko z jem. To już je umowy pomiędzy ke można równie rękami (jak w s tylko lewą ręk dowcip polega na sposób możliwie

KAWALERIA

ULUBIONA zabawa uczniów japońskich szkół podstawowych to „KAWALERIA". Popatrzcie na zdjęcie, przecież ta zabawa znana jest i u nas. „Jeźdźcy", galopujący na ramionach swoich kolegów, ściągają się nawzajem z „siodła". Wygrywa „zaprzęg", który utrzyma się najdłużej na boisku. Ta gra została włączona do dorocznych igrzysk szkolnych młodzieży japońskiej. Wasi japońscy koledzy lubią gry szybkie i męskie.

Warto wiedzieć, że dzieci japońskie uczęszczają obowiązkowo do sześcioletniej szkoły podstawowej a później — trzyletniej tzw. niższej szkoły średniej. Zajęcia w szkołach trwają zazwyczaj od godz. 8.00 do godz. 15.00, z wyjątkiem sobót, kiedy nauka trwa tylko do południa. Rok szkolny rozpoczyna się w kwietniu, a kończy w marcu następnego roku. Wakacje letnie przypadają w sierpniu.

A MOŻE ZAGRASZ W CIUPY?!

WŚRÓD DZIEWCZYNEK z Etiopii w ostatnich latach rekord popularności pobija znana i Wam gra „w ciupy" (inaczej: „w hacele", „w kamyki", „w deszczyk", „w podrzutkę"...). Prawie wszystkie swoje wolne chwile (nielliczne, bo dziewczynki etiopskie w przeciwieństwie do chłopców już od najmłodszych lat ciężko pracują) poświęcają tej ulubionej grze.

Wiecie, że wystarczy pięć względnie równych kamyków i można zacząć. To jest stosunkowo proste. Najwyższy jednak stopień eliminacyjnego wtajemniczenia dziewcząt etiopskich wymaga postarania się o jeszcze jeden niezbędny do gry przedmiot, a mianowicie o skrzyneczkę czy rynienkę z wyciętymi na wierzchu pięcioma niewielkimi, niezbyt od siebie oddalonymi otworkami. Wszystkie kamienie trzeba podrzucić do góry w ten sposób, aby spadając wpadły poprzez otworki do wnętrza skrzyneczki. (Przez jeden otwór ma prawo wpaść tylko jeden kamyk). Komu uda się za jednym podrzutem wrzucić do skrzyneczki najwięcej kamieni, ten wygrywa.

Kto z Was spróbuje?! (ek)

TAK WIDZĘ ŚWIAT

JEST TAKI JĘZYK, w którym doskonale mogą się zrozumieć bez tłumacza dzieci całego świata. Tym językiem jest ich twórczość plastyczna. W rysunku — wyrażają dzieci najchętniej swoje wyobrażenia o środowisku, w którym żyją, i o ludziach, których warto upamiętnić, i o zwierzętach, które lubią.

Nic więc dziwnego, że na konkurs rysunkowy pt. „Tak widzę świat", ogłoszony w ubiegłym roku przez gazetę „Pionierska Prawda" napłynęło ponad 120 tysięcy rysunków dziecięcych z 52 krajów. Jury miało bardzo trudne zadanie, żeby wybrać 1500 najlepszych prac i urządzić w Moskwie wystawę.

Ci, którzy ją zwiedzili, a było ich niemało, przekonali się, jak dzieci widzą świat, w którym żyją. Na przykład radziecki uczeń Antoni Talko narysował budowę. Na jego rysunku z niewiarygodną szybkością rosną ściany domu, a żółty dźwig wydaje się żywym mądrym stworzeniem, kiedy podaje robotnikom materiały budowlane.

Dzieci żyją w różnych krajach, ale bez względu na położenie geograficzne nie lubią leczyć zębów. Mały Japończyk Midzuko Chikaru narysował samego siebie w gabinecie dentystycznym. Jeden rzut oka na rysunek wystarcza, żeby pojąć, jak on się tam czuje.

Dzieci ze wszystkich kontynentów przysyłały prace ilustrujące obyczaje swego kraju, tradycje narodowe, uroczyste śluby, kobiety przy pracy, zajęcia mamy w rodzinnym domu. Wiele prac poświęcono ulubionym zwierzętom. A więc były i zwyczajne pasiaste koty, i żółte żyrafy z długimi szyjami, i psy, i rasowe konie angielskie.

Był w tych rysunkach i uśmiech serdeczny, i żal, i zamyślenie, i oburzenie na sprawców wojen.

Polska ekspozycja na wystawie zaprezentowała prace 136 młodocianych twórców; stanowiło to ponad 9 proc. wszystkich wystawionych rysunków. Jest to zatem wielki sukces! Trzy prace naszych rodaków zostały wyróżnione. Nie podali oni jednak swoich dokładnych adresów i „Pionierska Prawda" miała trudności z wysłaniem nagród w postaci dyplomów, znaczków pamiątkowych i pięknego albumu z wystawy.

Prosimy zatem wszystkich trzech polskich laureatów konkursu: STANISŁAWA KLISZEJKO, MARKA KRAWCZUKA i ZBYSZKA KUPCA — o podanie adresów. Nagrody czekają w redakcji „Świata Młodych", Warszawa, ul. Mokotowska 24.

Organizatorom wystawy dziękujemy, a laureatom — gratulujemy. (bis)

Próbowałem z tym walczyć, nawiązać przyjazne stosunki z najsilniejszymi kolegami, ćwiczyłem żeglarstwo i wyciskanie ciężarów. Nic nie pomaga. Czasami jestem bliski załamania.

Aris z Warszawy

Czy może być coś przyjemniejszego!...

JUŻ WKRÓTCE rozpoczną się wakacje. Z radością myślę o wyjeździe na wieś, gdzie mieszka moja dalsza rodzina.

W całej wsi mam przyjaciół. Razem z nimi chodzę w pole, do lasu, dzielimy się wspólnie swoimi kłopotami i przeżyciami. Kiedy cieszymy się z czegoś, to wszyscy razem, smucimy się też wspólnie. Bardzo zżyłem się z tymi chłopakami. Nauczyli mnie jeździć konno, prowadzić wóz. Są dla mnie bliżsi niż koledzy z klasy.

Już na samą myśl, że wkrótce znów się spotkamy, ogarnia mnie radość. Czyż może być coś przyjemniejszego od wyjazdu na moją wieś do moich przyjaciół?!

Kazik

Teraz żyjemy w zgodzie

WCZASIE PRZERW moi koledzy często podstawiali mi nogę. Pewnego razu wywróciłam się, potłukłam ręce i kolana. Kiedy chłopcy zobaczyli, co się stało, uciekli. Pomógł mi wstać tylko jeden uczeń, który zaprowadził mnie do pokoju nauczycielskiego i powiedział nauczycielowi, że podstawił mi nogę. Zaprzeczyłam, twierdząc, że sama się przewróciłam.

Kilka dni leżałam. Chłopcy, którym pewnie zrobiło się wstyd, odwiedzili mnie, przeprosili i wręczyli kwiatki. Teraz żyjemy w zgodzie.

Krystyna z Gliwic

Miał aż 30 kwiatów...

MÓJ KAKTUS ma dziesięć lat i co roku kwitnie biało. W ubiegłym roku pobił rekord. Miał 30 kwiatów! Mam też kaktusy, które kwitną różowo i żółto, ale są jeszcze młode i mają znacznie mniej kwiatów.

Jan Murański z Łagiewnik

Zostanie poetą...

MAM KOLEGĘ, który chce być poetą, a raczej już nim jest, bo uśmiecha się do słońca i do deszczu. Na razie ma tylko ogromne trudności z wydrukowaniem swoich wierszy. Wierzę jednak w to, że jeśli bardzo będzie chciał, to poetą zostanie.

Stefan z Bydgoszczy

ilość uczestnidają na przeach boiska, a ysyłają po jedprzedstawicielu. ają grę odbijaą piłkę, przy nich stara się, jak najszybPokonany musi do swojej druła końcu, a do e następny z Gdy on skusi, epuje kolejna

uczestnicy z jedięli już udział w isku znowu staje zaczynał i wypoddania się; jego a.

n sposób gry, piłki, może być Dziewczynka na ą nie ręką tylko akończonym kiest tylko kwestia drużynami. Piłeż odbijać obiema siatkówce), można ą, tylko głową... a tym, aby był to najtrudniejszy.

(ek)

Lalitha Narayanan jest Hinduską; mieszka w Warszawie.

Lalitha pięknie tańczy narodowe tańce hinduskie i na fotografii widzicie ją właśnie w stroju tancerki. To właśnie od Lalithy otrzymaliśmy opis gry w Kabaddi.

KABADDI – zabawa hinduska

WZABAWIE biorą udział dwie drużyny po 6 — 7 osób. Gra polega na szybkości, sile i umiejętności zatrzymywania oddechu.

Dwie rywalizujące ze sobą drużyny stają naprzeciwko siebie w odległości 5 metrów, od zaznaczonej na boisku linii, która oddziela obie drużyny.

Jeden z graczy biegnie do przeciwnej drużyny i przez cały czas powtarzając głośno słowo **„Kabaddi"** (nie wolno zaczerpnąć powietrza!) musi dotknąć jednego z przeciwników i jak najszybciej powrócić na swoje miejsce. Jeśl. zaczerpnie oddech lub pozwoli się złapać przeciwnikom przed przekroczeniem linii, jest „spalony" i opuszcza boisko.

Równocześnie przeciwna drużyna wysyła swojego zawodnika, który musi spełnić takie same warunki; a więc powtarzając słowo **„Kabaddi"** powinien dotknąć przeciwnika i wrócić na miejsce.

Gra kończy się w momencie, gdy ostatni zawodnik jednej z drużyn zostaje wykluczony. Oznacza to oczywiście zwycięstwo drużyny przeciwnej.

Kabaddi jest bardzo popularną zabawą w całych Indiach, szczególnie chętnie bawią się w ią chłopcy, nam przypomina zabawę „w czarnego luda", prawda?

WILKI za GRANICĄ

ALEKSANDER WIĄCEK
JERZY RUSZCZYŃSKI

ODCINEK 10.

SIERŻANT WIERZBA niepokoił się już poważnie o Szpaka, wysłanego do Pieńska. Nie zjawił się on na stacji w Węglińcu ani w poniedziałek, ani w czwartek. W piątek Wierzba dowiedział się telefonicznie od dowódcy pobliskiej strażnicy, że o Leonie nikt tam nawet nie słyszał. Na szczęście tego samego wieczora do pokoju Wierzby wpadł roześmiany Szpak we własnej osobie.

— Gratuluj mi, Wierzba! — krzyknął radośnie od drzwi. — Masz przed sobą agenta, jakiego świat nie widział. Jeszcze i ty staniesz się sławny przez to, że mnie odkryłeś. Dasz awans na generała.

— Wolnego, Leon, wolnego. Masz na zaliczkę papierosa, uspokój się i zacznij opowiadać od początku.

— A może od końca będzie ciekawsze?

— Nie wydurniaj się. Opowiadasz, czy nie?

— No, no, nie gniewaj się, stary — pocieszał go Szpak. — Jak się zatnę, to poczekasz do jutra. Daj mi wygadać się.

— Niech ci będzie. Tylko mów, co najważniejsze.

— U mnie wszystko będzie ważne. Więc posłuchaj. Przyjechałem do tego Pieńska, poszedłem do tkalni „Wolność" i zaraz uderzyłem do tego twojego Seretiuka. Fajnego przyjaciela sobie wybrałeś...

— Tylko bez wycieczek osobistych — zastrzegł się Wierzba. — Jedź dalej.

— A więc powiadam temu Seretiukowi, że jestem elektryk, tylko mi papiery na wojnie zginęły. Uwierzył jakoś, zresztą liznąłem przecież trochę w wojsku tej elektryki. Dali kombinezon i tak sobie łaziłem z kąta w kąt, oglądałem niby instalację, a jeszcze więcej gęby ludzkie. Parę ich tam było nawet niebrzydkich, inne podejrzane, bo takie krościaste...

— Leon! — ostrzegł groźnie Wierzba.

— ...ale takich po twojemu podejrzanych, to ja tam poznać nie mogłem. Pokój mi dali naprzeciwko fabryki, wcale możliwy, ze świeżym powietrzem, bo bez szyb. Smutno było tam samemu siedzieć, więc raz na wieczór zaprosiłem kolegę. Chłopak był fajny, mówił, że ze Lwowa, ale wydaje mi się, że po metrykę ze Lwowa to trzy dni wołami musiał jechać. Szymek mu na imię. Uważa się za wielkiego tkacza, ale chyba najwyżej ścierkę potrafi utkać.

— No i co z tym Szymkiem? — poganiał Wierzba.

— Zaczęliśmy wspominać nasze strony, smutno się zrobiło, więc wziąłem tę forsę, co od płatnika dostałem, i skoczyłem po bimber. Pół metra przyniosłem, załatwiliśmy go raz dwa, no i dawaj śpiewać. Przypomniałem sobie nasze piosenki, ale co ja zacznę po polsku, to on to samo po ukraińsku zaiwania. Mieliśmy już obaj dobry gaz.

— I jeszcze nie wytrzeźwiałeś? — przygadał sierżant.

— A jakże, staruszku, wytrzeźwiałem, ale mi nie przeszkadzaj. Więc jak wypił, to wlazł ten Szymek na stół i drze się na tę melodię, co to Niemcy w czasie wojny śpiewali, tylko słowa były, coś tak jak: „Lili majli".

— Trochę inaczej, Leon — sprostował sierżant. — Ta piosenka nazywała się „Lili Marlen", a zaczynała się od słów: „Vor der Kaserne".

Rys. Jan Rocki

— Może i racja — zgodził się Leon. — Więc on drze się, a potem pyta, czemu nie śpiewam. „To w waszej sotni tego nie śpiewali?" — pyta się mnie. Zimno mi się zrobiło, ale nic, powiadam na wariata, że w SS byłem. On wtedy zaczyna się chwalić, że też tam był, w dywizji SS „Galizien" i że stali we Lwowie. Żeby mu przykro nie było, to ja powiadam, że staliśmy w Tarnopolu, a tam tego nie śpiewali. Jak mu jeszcze mowę założyłem, że samego Banderę znałem, to się rozkrochmalił i wszystko mi o sobie opowiedział. Potem o swoim bracie gadał: że przed wojną zwiał do Reichu, że brał udział w kampanii francuskiej, a potem służył w Jarosławiu u sotnika Seretiuka.

— U tego personalnika? — zdziwił się Wierzba.

— No pewno — mówił z dumą Szpak. — Chciałem dowiedzieć się o nim czegoś więcej, ale nie dało się nic zrobić. Szymek doszedł do swojej normy, przy drugim litrze nagle uwalił się na moje łóżko i zasnął jak kamień. Wtedy dopiero zacząłem się martwić. Tyle nowuści, ale żadnych dowodów. Przywiozę wam takie historie, to powiecie, że pijackie gadanie. Najpierw wsadziłem łeb do kubła z zimną wodą — i od razu poczułem się lepiej. Wtedy zacząłem zastanawiać się, co ty byś zrobił na moim miejscu...

— Wcale ładna metoda — uśmiechnął się z zażenowaniem Wierzba.

— Metoda ładna, ale nieskuteczna, bo nic nie wymyśliłem. Ty byś pewno zrobił coś mądrego, ale do tej pory nie wiem co. Najpierw chciałem lecieć do telefonu, zadzwonić do ciebie, ale przypomniałem sobie, że nie wolno. Potem wyszukałem w kalendarzyku, że to właśnie minął czwartek i że dopiero w poniedziałek będziesz na miejscu. Wolałem więc zaraz tu przyjechać.

— I to wszystko? Masz się czym chwalić... — rozczarował się Wierzba.

— Do końca jeszcze daleko. Najpierw sprawdziłem dokładnie kieszenie Szymka. Pod podszewką miał dwa dolary, to mu zostawiłem. W portfelu też nic nie było — kartki żywnościowe i fotografie. W kieszeniach nic więcej nie miał, nawet chustki, bo to taki, co w rękaw smarka. Ale jeszcze w jednej kryjówce, w spodniach miał wszyte coś takiego.

Leon podał Wierzbie małe kółeczko ze skóry, wielkości przedwojennej dwudziestogroszówki. Z jednej strony gotyckie litery układały się w napis „Wohrwolf", otaczający podobiznę wilka z wyszczerzonymi kłami. Z drugiej strony Wierzba odczytał hasło: „treu, tapfer, gehorsam" (wierny, mężny, posłuszny). Krążek był brudny i wygnieciony, widocznie przez niejedne ręce już przeszedł.

— Zdajesz sobie sprawę, co to za organizacja? — rzucił Leonowi. — To najgorsze cholery, które nie spoczną, aż wyginą, albo nas zniszczą. To oni zabili Wielgosza, Pamiętasz Kuśnierza? Mów dalej.

— A więc chciałem jechać do ciebie po radę, ale nie wiedziałem, która jest godzina, a pociąg miał być po północy. Poszedłem więc do tkalni. Na portierni zegar pokazywał jedenastą, ładna noc była. Usiadłem sobie na ławce pod biurem i tak z nudów zacząłem śpiewać. Ciągle tę samą melodię. W głowę mi się wbiła — ta „lili marna" — czy jak ją tam nazywasz. Zapomniałem ci powiedzieć, że w jednym oknie biura świeciło się jeszcze światło. Gwizdałem właśnie na tę „lili", a tu się okno otwiera, wychyla się Seretiuk i powiada: „Komm hier" (chodź tu). Poszedłem do niego na górę, a on pyta od razu:

— Dlaczego dopiero dziś przychodzisz?

— To moja rzecz — powiadam, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Kto cię przysłał? — pyta dalej. — Herbert czy Karol?

— Powiedziałem na wszelki wypadek, że Karol. Bo tu już to imię słyszałem. A on stuknął się w łeb i powiada:

— Że też ja się od razu nie domyśliłem. Przecież wiem, skąd jesteś.

— Mówiłeś mu o tym? — spytał Wierzba groźnym głosem.

— Ale skąd. Tylko on, jak przyjmował mnie do pracy, widział moją kartę demobilizacyjną. Powiedziałem mu, że to lipa, tylko Karol ma w WOP-ie swoją wtyczkę i stąd ta karta. To on się spytał, po co tu przyszedłem. Powiedziałem mu, żeby mi pomógł przejść do centrali.

— Do centralnej Polski? — skojarzyło się Wierzbie.

— Nie, do ich centrali, oni ją nazywają „Oaza".

— Za Nysę chciałeś iść? Zwariowałeś?

— Jeszcze długo nie, a potem wcale. A po drugie, jak ty się odzywasz do asa wywiadu? Przecież musiałem coś gadać. Żebyś ty słyszał, co on o matce Karola mówił. — Taki a taki syn — powiada — ludzi przysyła, papierki im daj, przyprowadź, odprowadź, a forsy jak nie ma, tak nie ma. W końcu pytał mnie o jakiś żeton.

— Co takiego?

— Okazało się, że chodzi o ten znaczek z wilkiem. Trochę się certowałem, ale w końcu mu pokazałem i uspokoił się zaraz. Powiedziałem mu jeszcze, żeby mordy na Karola nie darł, bo mu jeszcze obaj pokażemy.

— Ty masz pomysły. A o tej ich „Oazie" dowiedziałeś się czegoś?

— Powiedział mi, że na razie mnie nie przerzuci, bo WOP strasznie teraz pilnuje koło elektrowni. Ja tam żadnej elektrowni nie widziałem. Powiedział mi jeszcze, że jak chcę, to mogę iść na Zittau.

— A co ty na to?

— Powiedziałem, że muszę najpierw uzgodnić z Karolem, czy mogę iść na Zittau, a na razie wracam i może jeszcze tu do niego przyjadę. Akurat był czas iść na pociąg — no i to wszystko.

— Dziękuję ci, Leonie. Spisałeś się wspaniale. Wyśpij się teraz, a ja polecę do starego. Muszę tylko sprawdzić na mapie — Wierzba szukał gorączkowo. — Tak, masz rację, a ja też pamiętałem, przecież koło Pieńska nie ma żadnej elektrowni.

C.d.n.

TYTUS de Zoo

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

W DNIU MIĘDZYNARODOWEGO DNIA DZIECKA ŻYCZYMY CI WSZYSTKIEGO WESOŁEGO. PRZYJMIJ TEN SKROMNY PREZENT...

TRAPEZ

TYTUS

W DNIU DZIECKA ŻYCZĘ CI JAKO STAŁY CZYTELNIK...

TRAPEZ

TYTUS

O DZIĘKUJĘ...

MINĘŁA GODZINA.

PRZESYŁKA ZAGRANICZNA. PŁACI PAN CŁO 327 ZŁ.

TYTUS

...I POSYŁAM CI WSPANIAŁY PREZENT JAKIEGO W POLSCE ZA PEWNE NIE DOSTANIESZ... STRYJ - GUTAN ORAN.

ZATRAPEZOWALI MNIE!

TRAPEZ

...SZNURY OD DRĄŻKA ODEJMIEMY, TRALALA!.. ♪

...I DYWANIK UPLE, UPLE, UPLECIEMY! TRALALA! ♪

OGIEŃ TERAZ ROZPA, ROZPA, ROZPALIMY... ♪

PRZY KOMINKU POSIEDZIMY, POSIEDZIMY ♪

Lamarck „FILOZOFIA ZOOLOGII"

PACZKA OD PAPCIA CHMIELA.

POŚŁAŃIEC

TRAPEZ

TYTUS

CO, I PAPCIÓ TO SAMO?

PIII!

?

WTEM!

CMOK!

TRAPEZ

TYTUS

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPOŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji 21-15-61, Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61. Tel. 21-21-29. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.

Zam. 2289 K-89

Jak 15-letni Al został redaktorem najdziwniejszej gazety świata

JEST ROK 1862. W wagonie bagażowym toczącego się po szynach pociągu — niezwykły ścisk. W jednym z kątów leżą kosze pełne świeżych warzyw, obok sterty gazet i pliki papierów, a jeszcze dalej stoją półki pełne różnego rodzaju chemikaliów i odczynników w próbówkach. Do tego kilka podniszczonych książek, kilka baterii elektrycznych, sporo butelek niezwykłego kształtu i... mała ręczna prasa drukarska, przy której pracuje 15-letni zaledwie chłopak. Jego zaplamione farbą ręce szybko odbierają zadrukowane płachty papieru. Sądząc po minie, jest zadowolony z wyników swej pracy.

Nie byle jaka to zresztą praca; Al jest sprzedawcą, redaktorem, reporterem, zecerem, wydawcą, kolporterem i agentem ogłoszeniowym w jednej osobie. — Co sprzedaje? — spytacie. — Warzywa! — A co redaguje i drukuje? — Własną gazetę! I to gazetę, której redakcja i drukarnia mieści się w wagonie bagażowym jadącego pociągu. Aha, nie powiedziałam Wam jeszcze, że pociąg kursuje na linii kolejowej Detroit — Port Huron, w stanie Michigan. Ależ szarpie i kołysze! Jeszcze jeden taki ostry zakręt i wszystko runie na podłogę!

*

„Weekly Herald" — taki tytuł nosiła niezwykła gazeta. Posłuchajcie, jak doszło do tego niecodziennego w dziejach prasy zdarzenia.

Al, zanim stał się autorem i wydawcą, został najpierw ogrodnikiem a potem przedsiębiorcą handlowym. W ogródku warzywnym za domem rodzicielskim otrzymał małą działkę, na której mógł hodować, co mu się żywnie podobało. Jarzyny sprzedawał sąsiadom, połowę zarobionych pieniędzy oddawał matce, a za resztę kupował książki i chemikalia do doświadczeń. Miał wtedy dwanaście lat i mieszkał w Port Huron. Ponieważ popyt na jarzyny wzrastał z upływem czasu, przedsiębiorczy chłopak wpadł na pomysł, aby przywozić je z targu w pobliskim Detroit. Jeździł więc tam codziennie.

Kiedy minęło pierwsze podniecenie wywołane widokiem wielkiej metropolii, Al zaczął zastanawiać się, w jaki sposób wykorzystać najlepiej czas stracony w pociągu. W efekcie złożył ofertę do władz kolejowych, aby zatrudniono go jako stałego kolportera prasy codziennej. Dzięki tej posadzie podczas trzygodzinnej podróży nie tylko sprzedawał z zyskiem gazety w pociągu i na stacjach, rozpowszechniając dziennik „Detroit Free Press" ale i podróżował bezpłatnie.

Zainstalował się w wagonie bagażowym; tam sadowił się wraz ze swoimi gazetami, jarzynami, chemikaliami i podręcznikami chemii, bowiem po rozsprzedaniu gazet miał jeszcze zapał do przeprowadzania eksperymentów.

*

Były to czasy nasilającej się wojny między Stanami północnymi i południowymi. Pewnego dnia do Detroit dotarły pierwsze wieści o srogiej bitwie, w której zginął generał Johnston. Wówczas Al namówił telegrafistę ze stacji w Detroit, by ten nadał na trasę krótką wiadomość o bitwie. Wiadomość tę zanotowano na tablicach poszczególnych stacji z dopiskiem, że w gazetach wieczornych, które przybędą najbliższym pociągiem, podane zostaną dalsze szczegóły.

Zmyślny kolporter sprzedał tego popołudnia nie — jak zwykle — dwieście, lecz tysiąc egzemplarzy gazety.

Czy wiecie, jaki użytek zrobił z zarobionych pieniędzy? — Otóż już następnego dnia rano wszedł do jednego ze sklepów w Detroit i zapytał o cenę małej, używanej prasy drukarskiej.

— Sto dolarów! — brzmiła odpowiedź.

— Dam pięćdziesiąt i to jest wszystko, co posiadam. Pan i tak nie może sprzedać tej prasy od dłuższego czasu.

— Zgoda — westchnął kupiec.

Chłopak zainstalował prasę w pociągu i niebawem zaczął wydawać własną gazetę. Była to dwustronicowa gazetka ukazująca się w 400 egzemplarzach i zawierająca głównie wiadomości lokalne z Utica, Mount Clemens i Port Huron. Al sprzedawał swą gazetę po trzy centy, a za prenumeratę miesięczną pobierał 8 centów.

Ponieważ ta niezwykła gazeta była pierwszym i jedynym czasopismem drukowanym w pociągu, fakt ten odnotował nawet londyński „The Times". Nazwisko piętnastoletniego wydawcy znalazło się po raz pierwszy w prasie, a brzmiało: **Thomas Alva Edison.** Nikt nie przewidywał wówczas, że jest to nazwisko człowieka, o którym wkrótce dowie się cały świat.

Późniejszy słynny wynalazca, autor 2500 patentów, przez całe swoje 84-letnie życie charakteryzował się tą zapowiadającą się już w dzieciństwie i wczesnej młodości przedsiębiorczością, zmysłem praktycznym i wszechstronnością zainteresowań.

Oprac.

TERESA DROGA-KUPCZYŃSKA

Drewniaki robią karierę

JUŻ RAZ BYŁY MODNE... Brakowało skóry — była wojna, toteż moda na obuwie z drewnianymi podeszwami wynikała wtedy z konieczności. OBECNIE DREWNIAKI ROBIĄ JEDNAK PRAWDZIWĄ KARIERĘ, OPARTĄ NA OPINII LEKARZY-ORTOPEDÓW.

Lekarze stwierdzili, że drewniaki wzmacniają wewnętrzne mięśnie stóp, przeciwdziałają obrzękom powodowanym przez zmęczenie, poprawiają krążenie krwi. W drewniakach spotyka się coraz więcej młodzieży, drewniaki noszą pielęgniarki, mające wiele męczącego biegania po szpitalnych korytarzach.

Jedynym krajowym producentem drewniaków na skalę przemysłową są Łukowskie Zakłady Obuwia.

— Produkujemy obecnie 14 wzorów — mówi zastępca dyrektora Zakładów, pan JAN ROGALSKI. Są to sandały dla dzieci, drewniaczki damskie, a także przeznaczone dla panów.

Wszystko zaczęło się przed trzema laty. Nawiązaliśmy wówczas kontakt z Kliniką Ortopedyczną Akademii Medycznej w Lublinie — chodziło o produkcję obuwia

zdrowotnego. Jeden z lekarzy „podpatrzył" drewniaki powszechnie noszone przez mieszkańców państw skandynawskich. Wykonaliśmy wzory i przedstawiliśmy je do oceny Kliniki.

Nasze drewniaczki zdały egzamin! Po 2 miesiącach otrzymaliśmy jak najbardziej pozytywną opinię i rozpoczęliśmy produkcję. Sądząc po dużej ilości listów, jakie otrzymujemy od ludzi z całej Pol-

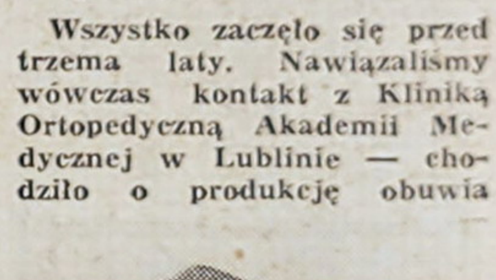

ski, drewniaczki z Łukowa cieszą się coraz większym powodzeniem. W bieżącym roku zamierzamy wyprodukować 450 tys. par. Równocześnie Centrala Handlu Zagranicznego prowadzi pertraktacje na temat eksportu drewniaków do Szwecji. (ag)

Foto: Archiwum „Łukbut"

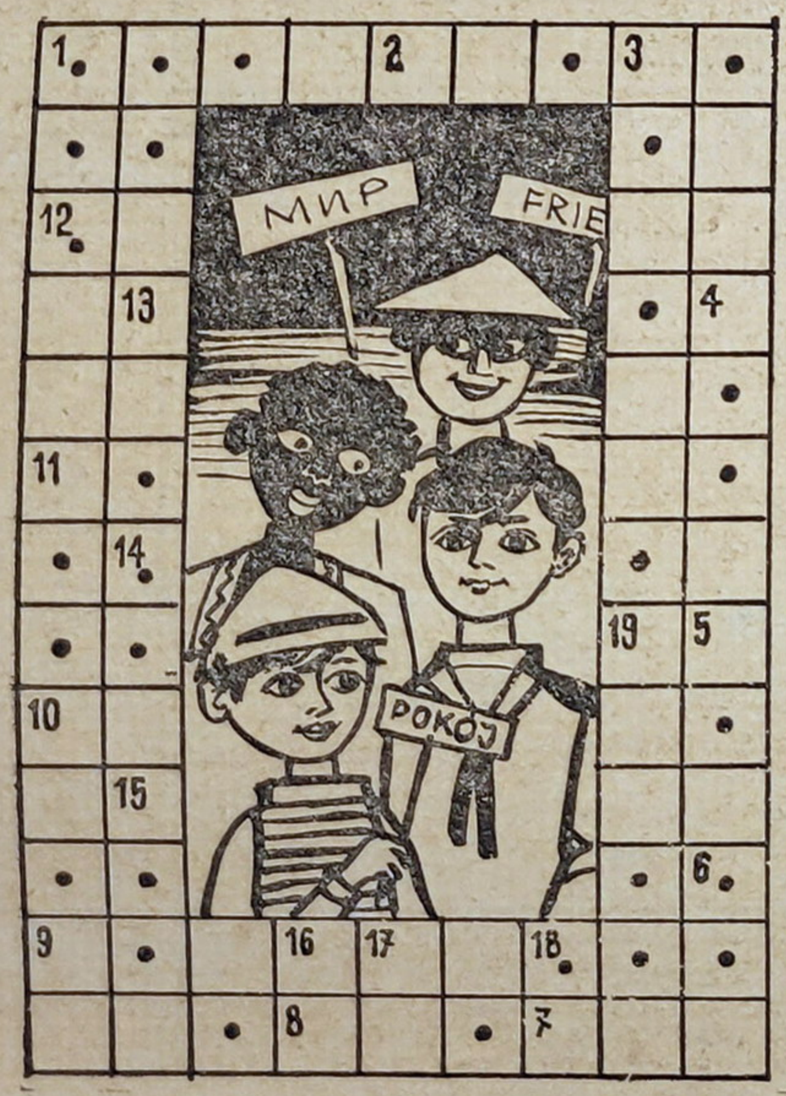

Spróbuj rozwiązać

CIĄGÓWKA

Do kratek wpiszcie dziewiętnaście wyrazów o podanym znaczeniu. Ostatnia litera każdego wyrazu jest równocześnie pierwszą literą następnego wyrazu.

Litery w oznaczonych kratkach, czytane kolejno, tworzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1 — pismo wszczynające proces cywilny w stosunku do oznaczonej osoby; 2 — usterka, błąd; 3 — miasteczko i obóz sanatoryjny pionierów na Krymie. 4 — roślina z rodziny dyniowatych, arbuz (owoce duże, kuliste o soczystym i słodkim miąższu); 5 — rzeka w Polsce; 6 — wielbiciel, aktor grający rolę kochanka; 7 — długi palik używany przez mierniczych dla oznaczenia odmierzonego terenu; 8 — piszesz starannie na kopercie; 9 — elegancja, dobry gust; 10 — człowiek nierozgarnięty, gamoń; 11 — może być kaflowy, żeliwny; 12 — nie głośno; 13 — węgiel, torf, szczapy do spalania; 14 — miasto, port rybacki i kąpielisko nadmorskie, rzeka w Polsce; 15 — plac, na którym zbierał się lud w starożytnej Grecji; 16 — miara długości; 17 — dzikie zwierzę (żyje w Karpatach i Puszczy Białowieskiej); 18 — drzewo iglaste; 19 — odmiana smacznej marchwi.

Rozwiązania należy przysyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej: Spróbuj rozwiązać. Za trafne odpowiedzi będzie rozlosowanych 10 bonów książkowych po 20 złotych.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.